

Od kapłaństwa do ateizmu

Autor tekstu: **Zygmunt Pinkowski**

Najwięcej kleryków wydała się z seminarium po pierwszym roku studiów. Przed wyjazdem na ferie letnie alumni zgłaszają się indywidualnie do rektora na tak zwane skrutynium, w czasie którego omawiane są wyniki nauki za miniony okres. Niektórzy alumni nie osiągnęli zadowalających wyników. Właśnie tym rektor oświadcza, że są mało zdolni, nie dają sobie rady w nauce, mają więcej niż jeden stopień niedostateczny i dlatego muszą seminarium opuścić.

Alumni ci próbują się bronić. Mówią, że zawód księdza im się bardzo podoba, że poza kapłaństwem nie wyobrażają sobie życia i że są wewnętrznie przekonani o swoim powołaniu.

Rektor jest nieustępliwy. Po jego stronie stoi prawo kanoniczne. Nikt nie może zmienić jego decyzji, bo jedną z zewnętrznych oznak powołania do zawodu księdza jest przecież zdolność do opanowania wiedzy, niezbędnej kapłanowi do wykonywania misji. Wydaleni klerycy wyjeżdżają do domu smutni i przeważnie rozgoryczeni. Rozgoryczenie to różnie się objawia, czasem zamienia się w bunt i prowadzi do zerwania z Kościołem.

Przypominam sobie kolegę bardzo uczciwego i pobożnego, który w 1951 roku otrzymał informację, że powołania nie ma, ponieważ z dwóch przedmiotów wystawiono mu niedostateczne stopnie.

Kolega ten tak się żalił:

– Siedziałem w kaplicy tuż za kolegami J.G. i J.D. i widziałem, jak się zachowywali. Ja w czasie modlitw i mszy świętej starałem się być skupiony i uważnie rozmawiać z Bogiem, a ci dwaj w najlepsze sobie chrapali. Ja przychodziłem do swojego pokoju zmęczony i nie byłem w stanie efektywnie się uczyć. Oni zaś wracali wypoczęci, wyspani, zdolni do intensywnej nauki. Dzięki temu osiągalni dobre wyniki. I oto, jaki jest skutek mojej pobożności i uczciwości. Mnie z seminarium wylano, a oni zostali, bo rektor uznał, że mieli powołanie. Ocena zdolności intelektualnych drugiego człowieka jest bardzo trudna, rzadko obiektywna. Dlatego łatwo można kogoś skrzywdzić.

Pamiętam kolegów, którzy byli inteligentni i mądrzy, w szkole średniej uzyskiwali dobre wyniki, a w seminarium duchownym im się nie powiodło. Uznano, że do kapłaństwa się nie nadają, choć byli religijni i bardzo pobożni. Pamiętam również i takich, którym – nie wiem dlaczego – pozwolono niezaliczony rok powtarzać i do seminarium duchownego przyjęto bez matury. Wśród kandydatów do zawodu księdza byli młodzieńcy, umiejący niedoskonałości w wierze sprytnie ukrywać i przypadki przekraczania zasad moralnych trzymać w tajemnicy. Mimo to zostawali kapłanami, a niekiedy nawet biskupami.

*

W październiku 1950 roku znalazłem się w Arcybiskupim Seminarium Duchownym w Gnieźnie. Gdy przekraczałem jego mury, przypomniały mi się słowa położnej, która asystowała w czasie moich narodzin oraz uświadomiłem sobie, że właśnie w tym momencie słowa te zaczynają się realizować. Zostałem olśniony jakimś blaskiem, uświadamiającym mnie o podjęciu dobrej decyzji. Poczuję się umocniony w wierze, dzięki czemu łatwiej było mi przystosować się do nowych warunków życia. Życie w seminarium duchownym nie było łatwe. Toczyło się w odosobnieniu, z dala od znajomych, krewnych, a także rodziców. Kandydaci do stanu duchownego na ogół nie mieli kontaktów ze światem zewnętrznym. Co prawda, dwa razy w tygodniu wychodzili na dwugodzinne spacerki, musieli jednak chodzić wyłącznie za miasto i w grupach wyznaczonych przez rektora. Od grupy nie wolno było się odłączyć. Kto tego nie przestrzegał, spotykały go przykrości.

Niemal wszyscy klerycy byli uświadomieni, że kablowanie jeden na drugiego jest pożądane



Tekst jest fragmentem książki Zygmunta Pinkowskiego *Od kapłaństwa do ateizmu* wydanej przez wydawnictwo Branta pod patronatem medialnym portalu Racjonalista.pl.

i przez Boga mile widziane. Gdy raz za ledwie na pięć minut wstąpiłem do domu, bo zabrakło mi chusteczek, dowiedział się ksiądz rektor. Z tego powodu miałem nieprzyjemności i poddano mnie uważniejszej obserwacji. Prawie w każdą niedzielę i święta były odwiedziny. Mogli do nas przychodzić rodzice i rodzeństwo. Inne osoby były niemile widziane.

Grzechem zaś było przyjmowanie rówieśników, zwłaszcza płci żeńskiej. Mnie przeważnie odwiedzała mama. Ojciec i siostra przez sześć lat nie byli u mnie ani razu, brat kilka razy. Ze znajomych nikt do mnie nie przychodził. Wiedziałem, że to się nie podoba rektorowi, dlatego nikogo nie zapraszałem.

*

Do końca 1953 roku naszym ojcem duchownym był ksiądz S.Sz., człowiek sprytny, na pozór uduchowiony; bardzo gruby. Miał ulaną twarz z obwisłą skórą. Wyglądał, jakby w ogóle nie miał szyi. Nie pasował mi na ojca duchownego, raczej przypominał polskiego obżartucha z czasów demokracji szlacheckiej. Nie miałem więc do niego zaufania. Nie chodziłem do niego na żadne duchowe rozmowy, bojąc się, że niektóre fakty, które mu wyznam, wyolbrzymi, doniesie rektorowi, który na tej podstawie stwierdzi brak powołania i wyrzuci z seminarium. Niejeden, który mu zaufał i opowiedział szczerze o swoich sprawach, później tego żałował. Poruszone u niego tematy trafiały do rektora, który – jako odpowiedzialny przed Bogiem za życie moralne przyszłych księży – podejmował czasem pochopne decyzje, łamiąc niejednemu karierę.

W tym miejscu muszę podziękować moim starszym kolegom T.G. i J.K., którzy mnie ostrzegli przed tym otyłym ascetą. Powiedzieli: – Jeśli będziesz miał jakieś problemy ascetyczne, moralne lub inne związane z twoim powołaniem, nie chodź na rozmowę do S.Sz., bo cię zakabluje. Wtedy idź do niego raczej do spowiedzi. Wówczas możesz się wygadać, posłuchać, co ci powie, a on i tak nie będzie mógł tego powiedzieć rektorowi, bo obowiązuje go tajemnica spowiedzi.

Mimo to przez długi czas spowiadałem się u księdza S.Sz. Robiłem tak dlatego, bo tak wypadało. Wszyscy przodujący klerycy chodzili do niego spowiadać się. Ponieważ zaliczałem się do kleryków przodujących, też to robiłem. Jednak przyszedł moment, że ojca S.Sz. musiałem pożegnać. Byłem wtedy na czwartym roku. Według mojej oceny wpędził mnie w chorobę psychiczną, polegającą na ciągłym lęku przed Bogiem, piekłem i szatanem. Ustawicznie mi się wydawało, że mam jakieś grzechy, których nie wyznałem lub niedostatecznie je opisałem.

Bolała mnie psychika, chodziłem smutny.

Wreszcie zdobyłem się na odwagę i z nim zerwałem. Poszedłem do niego się spowiadać i sprawę załatwiłem po męsku, mówiąc:

– Ojciec duchowny, rujnujesz mi zdrowie psychiczne. Ciągłe mnie straszysz i niepokoisz swoimi uwagami. Muszę z Tobą zerwać, przestać się u Ciebie spowiadać, bo inaczej chyba wyląduję w domu wariatów.

Ojciec S.Sz. zdenerwował się i zaczął mnie pouczać:

– Zygmunce, ty wiesz, że jestem ci życzliwy. Nie chcę dla ciebie źle. Zawsze dobrze ci radziłem. Pamiętaj o miłości Chrystusa i Jego nieograniczonej dobroci. Może rzeczywiście nie masz powołania kapłańskiego i z uwagi na dobro swej duszy powinieneś z seminarium duchownego zrezygnować.

To mnie okropnie zdenerwowało i powiedziałem stanowczo:

– Dostyc mam kontaktów z Ojcem! Do widzenia! Szczęść Boże! Ja od dzisiaj wybieram innego spowiednika i duchowego opiekuna.

Został nim ksiądz dr Z., późniejszy biskup i ordynariusz diecezji włocławskiej. Z księdza Z. byłem zadowolony. Zniknął we mnie lęk i niepokój. Pozbyłem się skrupułów, stałem się normalnym człowiekiem. Pod jego duchową opieką – zdrowy psychicznie – doszedłem do kapłaństwa. Ksiądz S.Sz. nie mógł się na mnie zemścić, bo zabrakło mu na to czasu. Za ledwie kilka dni po tym zdarzeniu, ksiądz kardynał Wyszyński został uwięziony, a rządy w archidiecezji gnieźnieńskiej przejął jego wikariusz generalny, ksiądz infułat S.Br. Krnąbrny ojciec duchowny S.Sz. szybko popadł z nim w konflikt, ponieważ pozwolił sobie na jego krytykę. Infułat długo się nie zastanawiał, wyrzucił go z seminarium.

*

Zupełnie innym profesorem niż ksiądz L.D. był ksiądz rektor J.P. Już go wspominałem, gdy opisywałem moje pierwsze z tym człowiekiem spotkanie. Wówczas nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. Swym zachowaniem wywołał wątpliwości, czy powinien piastować stanowisko rektora

uczelnia kształcącej księży. Dzisiaj takich wątpliwości już nie mam, bo wiem, kim był i jak skończył swoją karierę. Ksiądz J.P. wykładał katolickie nauki społeczne i teologię moralną.

W przeciwieństwie do księdza L.D. nie dyktował swoich wykładów. Mówił z głowy. Czynił to jednak mętnie, zawile i niezrozumiale. Powtarzał kilkakrotnie to samo przy pomocy różnych słów i zwrotów. W ten sposób zmuszał kleryków do interesowania się literaturą przedmiotu i szukania we własnym zakresie wiedzy. Na ogół dobrze wypełniał obowiązki rektora i profesora. Miał jednak – o czym w seminarium było głośno – jedną poważną wadę, która go dyskwalifikowała jako wychowawcę młodzieży. Był homoseksualistą, czyli człowiekiem – jak to się dzisiaj mówi – o innej orientacji seksualnej. Na jego nieszczęście nie umiał sobie znaleźć partnerów do tego procederu spoza seminarium duchownego. Szukał ich wśród kleryków, a nawet wśród swoich pracowników fizycznych. W tym działaniu jednak starał się zachowywać pewną ostrożność. Gdy natrafiał na sprzeciw, natychmiast się wycofywał i zachowywał się tak, jakby nic się nie stało.

W stosunku do mnie – tak to dziś oceniam – raz tylko podjął próbę molestowania. Miało to miejsce na początku 1951 roku w czasie skrutynium po pierwszym semestrze. Wtedy na tym skrutynium byłem prawie godzinę. Gadał o wszystkim, opowiadał różne rzeczy. Wreszcie odważył się zaatakować. Próbował mnie objąć rękami i pocałować. Moja reakcja była natychmiastowa. Wyrwałem się i nawet nie zabrawszy kartki ze stopniami, wyszedłem. Koledzy, którzy czekali na swoją kolejkę, rzucali pytania:

– Co się stało? Dlaczego jesteś czerwony?

Nie zatrzymałem się nawet na chwilę. W biegu odpowiedziałem:

– Wszystko w porządku.

Poszedłem zaraz do kaplicy. Sam nie wiem, jak się w niej znalazłem. Byłem jakby nieprzytomny. Wydawało mi się, że zapadłem w głęboki sen. Dopiero, gdy usiadł obok mnie kolega J.D., ocknąłem się. Spostrzegłem, że jestem na chóрку seminaryjnej kaplicy.

Kilkanaście minut bezmyślnie klęczałem. Potem zacząłem się modlić:

– Boże, pozwól mi pojąć, co się przed chwilą wydarzyło. Spraw, abym zachowanie rektora właściwie ocenił, bym swoimi pochopnymi sądami nie wyrządził mu krzywdy. Wiem, iż on jest Twoim sługą, że Ty postawiłeś go na tym miejscu, by kształtował nasze powołania.

*

Nowy ordynariusz diecezji początkowo w to nie wierzył. Uznał, że informacje te są na tyle poważne i obciążające, iż powinien je zweryfikować i szybko zająć stanowisko. Jako człowiek dociekliwy i ambitny, a także sprytny, natychmiast zaczął działać.

Ukrył się w toalecie obok wejścia do mieszkania rektora i je obserwował. Po pewnym czasie wyszedł kleryk. Infułat poczekał, aż zamkną się drzwi, podszedł szybko do niego, zaskoczonego jego widokiem, i zaczął go wypytywać:

– Co robisz u rektora? Dlaczego jesteś taki spocony i czerwony? Przyznaj się, bo inaczej wylecisz z seminarium. Jeśli szczerze opowiesz, co on z tobą robił, włos z głowy ci nie spadnie.

Następnie infułat S.Br. wprowadził go do pokoju profesorów, w którym prócz księdza doktora S.S., seminaryjnego prokuratora i wykładowcy, nikogo nie było. Kleryk dokładnie opowiedział, co robił z nim rektor. Wtedy infułat długo się nie zastanawiał.

Poszedł od razu do mieszkania rektora i oświadczył:

– Nie mogę dłużej tolerować twoich obrzydliwych czynków. Postanowiłem cię zwolnić. Proszę do jutra godziny szóstej opuścić budynek seminarium i o godzinie dziesiątej zgłosić się u mnie w kurii. Otrzyma ksiądz skierowanie do klasztoru, gdzie na razie będzie przebywał.

O tym zdarzeniu dowiedziałem się z ust samego księdza doktora S.S., który opowiedział mi tę historię, gdy byłem już księdzem i pracowałem jako wikariusz w parafii świętego Wawrzyńca w Gnieźnie. Po uwolnieniu księdza kardynała Wyszyńskiego w 1956 roku, ksiądz J.P. wrócił na stanowisko rektora, jednak nie na długo. Informacje o jego wybrykach dotarły również do kardynała, który gorszyciela kleryków i robotników pracujących w seminarium usunął na zawsze. Zrobił to jednak niechętnie, bo musiał się przyznać do błędu, a tego nie lubił. W czasie nieobecności księdza J.P. w latach 1954 do 1956 obowiązki rektora pełnił prorektor ksiądz profesor F.Kł. Przybył on do Gniezna w 1953 roku z seminarium duchownego w Poznaniu, gdy w seminarium gnieźnieńskim utworzono wydział teologiczny. Jeszcze urzędujący wówczas kardynał Wyszyński powierzył mu stanowisko profesora egzegezy Starego i Nowego Testamentu oraz prorektora.

*

Często wspominam profesorów dogmatyki, teologii moralnej, historii Kościoła i prawa kanonicznego. Wykładali przecież podstawowe przedmioty, których uczyono przez całe trzy lata. Dogmatyki – jak już wyżej wspomniałem – początkowo uczył ksiądz profesor L.D., a po jego śmierci ksiądz infułat S.Br. powierzył tę funkcję wiejskiemu proboszczowi, wprawdzie doktorowi, ale człowiekowi zupełnie do tej funkcji nieprzygotowanemu. Nie pamiętam jego nazwiska. Wiem tylko tyle, że niewiele umiał. Jego wykład polegał na dyktowaniu suchych faktów, przedstawianych zawsze w takim samym układzie.

Wyglądało to mniej więcej tak:

Teza: Jest jeden Bóg w trzech osobach.

Dowody:

1. Z Pisma świętego: cytaty o Bogu Ojcu, Synu Bożym i Duchu Świętym.
2. Z tradycji: cytaty na te same tematy z pism ojców Kościoła.
3. Z nauki Kościoła: uchwały soborów powszechnych i cytaty z pism znanych teologów.

Takim wykładem, rzecz jasna, ksiądz profesor nie mógł imponować.

Nie przyczyniał się też do pogłębiania wiedzy o katolickich dogmatach i umacniania wiary. Raczej powodował powolne jej wygaszanie. Często w czasie jego wykładów słyhać było krytyczne uwagi, drwiny, a czasem nawet śmiechy. Dziwne, że on tego nie widział i nie złożył rezygnacji. Zachowałem go w pamięci jako człowieka bez ambicji i honoru, który swymi prelekcjami robił w umysłach kleryków prawdziwe, duchowe spustoszenie.

*

Dużym błędem infułata S.Br. było powierzenie księdzu infułatowi A. B. funkcji wykładowcy prawa kanonicznego. Choć ukończył Uniwersytet Gregoriański, gdzie uzyskał stopień naukowy doktora obojga praw, nie znał się ani na prawie kanonicznym, ani na świeckim. U nas w seminarium był na wykładach tylko trzy razy. Czas jakoś przepękał, opowiadając ciekawostki, związane z jego studiami w Rzymie.

Mówił między innymi, jak zdawał doktorski egzamin. Relacjonował:

– Otrzymałem wówczas pytanie „proszę wymienić wszystkich wikariuszy”.

Wyliczałem: są wikariusze parafialni, kapitulni, generalni i apostolscy. Więcej nie potrafiłem wymienić. Egzaminator nalegał, abym sobie przypomniiał. W końcu się zniecierpliwił i sam powiedział, że jest jeszcze wikariusz Rzymu. Jeden z kolegów zadał pytanie:

– Czy ksiądz infułat zdał? Infułat szczerze odpowiedział:

– Mimo że tego nie wiedziałem, egzamin doktorski zdałem i od tej pory mogłem używać tytułu doktora obojga praw.

Zapytano jeszcze:

– Czy tytuł ten oznacza, że ksiądz kończył dwa rodzaje prawa?

Ze szczerością odpowiedział:

– Na Uniwersytecie Gregoriańskim studia prawa kanonicznego kończą się uzyskaniem stopnia naukowego doktora obojga praw, co nie oznacza, że absolwent zna zarówno prawo kanoniczne, jak i świeckie.

Ksiądz infułat A. B. szybko zauważył, że się nie nadaje na naukowca, bo z jego naukowości się wszyscy śmieją. Po trzech tygodniach z funkcji wykładowcy w seminarium zrezygnował,



a stanowisko po nim przejął ojciec franciszkanin, znający dobrze prawo kanoniczne i umiejący je wyklądać. Ksiądz Al. B. był kapłanem mało znanym. Nie widziałem nigdy jego uroczystych mszy ani nie słyszałem jego kazań. Domyślałem się, że albo nie potrafi, albo nie lubi tego robić. Pamiętam, jak w czasie mszy pontyfikalnych siedział w łóżach przeznaczonych dla członków kapituły. Zawsze był skupiony i uduchowiony. Nigdy nie rozglądał się po katedrze, wpatrując się ustawicznie w swój modlitewnik. Muszę jednak przyznać, że robił na mnie dobre wrażenie. Nawet mi się podobał. Miałem ciche pragnienie, by być takim przystojniakiem jak on. Byłem zdumiony, dlaczego nie angażuje się w spektakularną pracę duszpasterską. Zrozumiałem to dopiero, gdy na spotkaniach z nami, przy okazji jego tak zwanych wykładów, nie potrafi poprawnie mówić. Infułat Al. B. prawie niczym nie mógł imponować. Zwracał tylko uwagę swym wyglądem. Był przystojny, choć niewysoki i lekko utykał na nogę. Jako ciemny brunet, łysawy, o śniadej cerze, nieotyły mógł się kobietom podobać.

W czasie rekolekcji przed święceniami kapłańskimi ksiądz prokurator S.S. zaprosił mnie na chwilę do swojego mieszkania. Gdy wszedłem, zamknął drzwi i zaczął opowiadać.

– Ale infułat S.Br. drapie się po głowie. Jego kolega infułat Al. B. wywinął niesamowity kawał. Okazało się, że miał kochankę. Zmarł na zawał u niej w mieszkaniu. Dziś przywieźli go do Gniezna. Ona też przyjechała. Ma podobno testament notarialnie potwierdzony i chce zabrać wszystko, co po infułacie Al. B. zostało, w tym także oszczędności pieniężne. To mnie zdziwiło. Jednak komu jak komu, ale księdzu S.S. uwierzyłem w to opowiadanie, bo znałem jego możliwości. Byłem zorientowany, że wie więcej niż ordynariusz diecezji. Później dotarły do mnie wiadomości, że kuria gnieźnieńska z konkubiną infułata Al. B. się dogadała, wypełniając ostatnią wolę swojego kapłana.

Gdy słucham dziś wypowiedzi lub katechez księdza prymasa G., zawsze czytanych, myślę sobie, że tak jak infułat Al. B. kończył przecież prawo na Uniwersytecie Gregoriańskim. Prawdopodobnie dlatego jest słaby zarówno w śpiewie, jak i w mowie. Jako Prymas nie może jednak publicznie nie występować. Musi często mówić i śpiewać. Jak widać, męczą go te występy, które pokazują, ile jest wart tytuł doktora obojga praw, jakim szczycił się kiedyś ksiądz Al. B., a obecnie szczyci się nim także prymas J.G. Najwyższy hierarcha Kościoła katolickiego w Polsce nie może – jak przystojny infułat – imponować swoim wyglądem, co wszyscy widzą. To podobno nie przeszkadzało mu mieć przyjaciółki w Częstochowie, którą chętnie odwiedzał. Dowiedziałem się o tym przypadkowo. Kiedy byłem dyrektorem przedsiębiorstwa w Gliwicach, pochwaliła się przede mną moja księgowa, że ksiądz prymas J.G. jest przyjacielem jej cioci. Nie wiedziała, iż on jest moim kolegą i studiowaliśmy razem na tym samym roku.

*

Wiele materiału na cudowne działanie Matki Bożej hojnie dostarczali mi kaznodzieje, zwłaszcza rekolekcjoniści. Zawsze chętnie ich słuchałem. Począwszy od 1945 do 1950 roku nigdy nie opuszczałem rekolekcji. W czasie ich trwania były omawiane tematy o odkupieniu, śmierci Pana Jezusa, Jego zmartwychwstaniu oraz o spowiedzi i pojednaniu człowieka z Bogiem. Żaden z kaznodziejów nie pomijał również problemu maryjnego. Każdy z nich do tego tematu bardzo się przykładał i chciał udowodnić, że właśnie Matka Boska najwięcej ludziom pomaga. Nie przebierał zatem w dobieraniu słów i przytaczaniu różnych, nawet zmyślonych opowieści, które miały słuchaczy przekonać do dziecięcej wiary w Maryję. Przytoczę tylko jedną taką opowieść. Zapamiętałem ją bardzo dobrze, bo słuchałem jej w czasie rekolekcji wielkopostnych w 1945 roku. Miałem wtedy jeszcze żywo w pamięci drugą wojnę światową i wiedziałem, jak łatwo w czasie jej trwania można było stracić własne życie lub bliskich. Kaznodzieja wtedy mówił:

– Kolega mój, który jest również jak ja dominikaninem, w 1944 roku przebywał w Warszawie. Ukrywał się przed Niemcami. Mieszkał kątem u biednej kobiety, która wychowywała dwóch synów i jedną córkę. Najstarszy syn miał osiemnaście lat, córka – jedenaście, a młodszy – osiem. Ojca w domu nie było. W 1939 roku poszedł na wojnę i ślad po nim zaginął. Osiemnastolatek wybierał się na powstanie, które lada moment miało w Warszawie wybuchać.

Gdy odchodził, matka żegnając go, płakała i powiedziała:

– Synu, martwię się, że idziesz na powstanie. Mam jednak nadzieję, prawie pewność, że Matka Boża przyprowadzi cię z powrotem do domu. Weź ten ryngraf i zawsze go noś na piersiach!

– Wierzcie mi kochani, że – mówił dalej kaznodzieja – Najświętsza Paniątka tym ryngrafem go osłoniła. Kula, która go trafiła, odbiła się rykoszetem od metalowego wizerunku Matki Bożej i dzielnemu powstańcowi nic się nie stało. Dzięki Maryi zdrowy i pełen sił wrócił do domu.

Po zakończeniu tego opowiadania kaznodzieja tak je zinterpretował:

– Czy potrzebujecie jeszcze więcej dowodów na to, że Matka Boża opiekuje się nami? Całkowicie Jej zawiercie! Z własnej woli zostańcie Jej dziećmi! Uklęknijmy więc przed naszą Racjonalista.pl

Niebieską Panią i wołajmy: „Matko ukochana, przyjmij nas na swoje córki i swoich synów! Opiekuj się nami! Pomagaj nam! My, kochano Mamo przyrzekamy Ci wierność na całe życie”.

*

Gdy rozpoczynałem studia w Wyższym Arcybiskupim Seminarium Duchownym w Gnieźnie, byłem przekonany, że wiarę moją umocnię. To przekonanie jeszcze bardziej się utwierdziło po wysłuchaniu trzech wstępnych wykładów, poświęconych filozofii. W czasie tych wykładów ksiądz profesor L.D. wyjaśnił, czym jest filozofia, jakie ma znaczenie dla teologii oraz dla naturalnego poznania Boga i duszy ludzkiej. Wszystko tak przedstawiał, jakby było zupełnie proste. Posługiwał się argumentami, które oddziaływały nie tyle na rozum, ile na uczucie. Mimo to przekonał mnie, że filozofia rzeczywiście potrafi udowodnić istnienie Boga i to, że człowiek składa się z dwóch istotnych elementów: ciała i duszy, ze sobą zespolonych. Uwierzyłem także w podaną wówczas przez niego tezę o konieczności poznania nauk filozoficznych przed przystąpieniem do studiowania teologii. Uznałem, że filozofia toruje drogę teologii. Pomaga zrozumieć dogmaty, ułatwia człowiekowi ich akceptację oraz likwiduje wątpliwości w wierze.

Profesor między innymi powiedział:

– Każdy z was po odbyciu studiów filozoficznych musi być przekonany, że jest Bóg i nieśmiertelna dusza ludzka. Dopiero mając co do tego pełną jasność, będziecie mogli zająć się tym, co Pan Bóg objawił i z jakich powodów musiał wkroczyć w nasze życie. Zatem zachęcam was do wnikliwego studiowania filozofii. Kto tej wiedzy nie opanuje, będzie musiał nasze seminarium opuścić. Na koniec ksiądz wykładowca przedstawił szczegółowy program studiów filozoficznych. Analizując powyższe wykłady z perspektywy dnia dzisiejszego muszę stwierdzić, że wzbudziły w nas one tylko nadmierną nadzieję. Od tej pory przez sześć lat czekałem na argumenty, które lepiej by mi uzasadniły moje przekonania religijne i uczyniłyby moją wiarę bardziej racjonalną. Niestety, tego się nie doczekałem mimo starannego przyswajania wiedzy, podawanej przez profesorów i pogłębianej w bibliotece seminaryjnej.

Na pierwszym roku poznawałem logikę, teorię poznania, metafizykę, częściowo etykę i historię filozofii. Dziedziny te niewiele mi pomogły w poznaniu Boga i nieśmiertelności duszy ludzkiej. Tylko jeszcze bardziej rozbudziły moją nadzieję, obiecując, że dopiero wtedy będę usatysfakcjonowany, gdy wysłucham wykładów z teodycei i psychologii racjonalnej. Więc cierpliwie czekałem, ucząc się zasad poprawnego definiowania pojęć, myślenia, wnioskowania i rozumowania naukowego. Dużo materiału do przemyśleń dostarczała mi historia filozofii.

Ucząc się różnych systemów filozoficznych, dochodziłem do przekonania, iż nie jest łatwo znaleźć w nich prawdę. Są one ze sobą sprzeczne, przeciwstawne i nie wiadomo, na jakiej podstawie zostały wymyślane. Jedni filozofowie głosili, że jest Bóg, inni, że Go nie ma. Niektórzy mówili, iż Bóg jest bytem, istniejącym sam z siebie, samodzielnie i niezależnie od materialnego świata. Byli też i tacy, co Go utożsamiali z materialnym światem, głosząc panteizm. Spierali się, czy Bóg jest bytem wiecznym, czy też został stworzony przez inny, jeszcze doskonalszy byt. Problemem spornym były też politeizm i monoteizm. Jeszcze większe zamieszanie dostrzegłem w etyce. Głoszono tak rozbieżne myśli, że nie mieściło się to w mojej głowie. Jedni uważali, że umartwienie się i zadawanie sobie cierpień jest etyczne, inni zaś mówili, że wszystko to, co sprawia człowiekowi przyjemność zmysłową, jest właśnie dobre. Nie było również jednakowych poglądów co do duszy ludzkiej. Jedni udowadniali, że jest ona różna od ciała, niematerialna, a zatem nieśmiertelna. Inni głosili, że duszy jako takiej nie ma, a myślenie jest tylko wytworem materii. Przedstawiali też teorie na temat, co dzieje się z duszami po śmierci ciała. Wśród tych teorii spotykamy hipotezy o wędrówce dusz, o miejscu ich pobytu oraz o karach, jakie spotkają je za grzeszne życie na ziemi. Muszę przyznać, że przyswajając sobie powyższe myśli, doszedłem do wniosku, iż filozofia jest zbiorem różnych historyjek, nic niewyjaśniających. Trochę tylko podtrzymywały moją wiarę w jej efektywność systemy filozofii scholastycznej, a w szczególności system świętego Alberta Wielkiego i świętego Tomasza z Akwinu.

Bardzo mnie interesowały ich poglądy. Wydawało mi się, iż dzięki nim zostanę przekonany o istnieniu Boga. Czekałem więc na wykłady z teodycei, zwłaszcza na wykłady o tak zwanych pięciu drogach świętego Tomasza, prowadzących od rzeczy stworzonych do Stwórcy, a także na wykłady o scholastycznych argumentach, przemawiających za istnieniem nieśmiertelnej duszy. Z logiki najbardziej utkwiała mi w pamięci nauka o przyczynowości.

Poznałem, jak wielką rolę odgrywa przyczynowość w badaniu faktów lub zdarzeń. Przekonano mnie, że niekiedy dość łatwo jest ustalić ich przyczyny, a w niektórych przypadkach bardzo trudno je znaleźć. Już wtedy próbowałem zastosować zasadę przyczynowości do badania istnienia Boga.

Usiłowałem przeprowadzić takie rozumowanie:

– Widzę na świecie różne byty przypadkowe. Byty te nie istnieją same z siebie. Ktoś musiał je powołać do istnienia. Tym, kto powołał je do istnienia, nie może być byt przygodny. Musiał to być byt istniejący sam z siebie, czyli Bóg. Na pozór rozumowanie to wydaje się logiczne. Prawdą jest, że na świecie jest wiele bytów, które w pewnym momencie zaistniały. Trudno uznać za fałsz to, iż musiała być przyczyna ich zaistnienia. Nie można jednak zgodzić się z tym, że tą przyczyną na pewno jest Bóg. Zaistnienie tych bytów mogło być spowodowane zupełnie innymi przyczynami, które na podstawie powyższego rozumowania trudno ustalić.

Zmartwiłem się więc, że nie potrafię przeprowadzić dowodu na istnienie Boga zgodnie z zasadami prawidłowego rozumowania. Dalej jednak miałem nadzieję, iż nauczę się tego od świętego Tomasza z Akwinu.

Na czwartym semestrze drugiego roku studiów słuchałem wykładów o pięciu drogach świętego Tomasza z Akwinu, prowadzących – rzekomo – umysł ludzki od świata widzialnego do niewidzialnego Boga. Wykładowca, rozpoczynając cykl tych wykładów, taką tworzył atmosferę, jakby potrafił eksperymentalnie udowodnić istnienie Stwórcy. Z różnych stron naświetlał ten problem i mówił, iż sam święty Tomasz z Akwinu uważał swoje dowody za pozwalające poznać Boga niemal *a posteriori*. Stąd później, gdy te prelekcje obietnicy nie spełniły, w umysłach wielu kleryków i moim powstały wątpliwości, które ciągnęły się za nami, szepcząc do ucha „chyba Boga nie ma”.

Pierwsza droga świętego Tomasza – to dowód kinezylogiczny. Prowadzi on z obserwacji ruchu do przyczyny, która ten ruch wywołała. Tak przebiega to rozumowanie. Przytaczam je za książką, z której w 1952 roku się uczyłem:

„Pewną jest bowiem rzeczą i wiadomą ze świadectwa zmysłów, że niektóre rzeczy świata znajdują się w ruchu. Cokolwiek się zaś porusza, jest poruszane przez coś innego. Nic bowiem nie porusza się, jak tylko dlatego, że jest w możności do tego, ku czemu się porusza... Zatem koniecznie musimy się zatrzymać na jakimś pierwszym bycie poruszającym, którego już żaden inny byt nie porusza, a przez taki byt rozumieją wszyscy Boga” [tekst świętego Tomasza z Akwinu, cytowany za: ksiądz Franciszek Kwiatkowski. „Filozofia Wieczysta” tom III. Kraków 1947, s. 28-29].

Na ogół rozumowanie powyższe przebiega prawidłowo. Gdy jednak głębiej się zastanowić, nie wiemy, dlaczego święty Tomasz wysunął taki, a nie inny wniosek. Przecież z przesłanek, którymi się posłużył, trudno było taki wniosek wyprowadzić. Owszem, ruch codziennie obserwujemy. Widzimy, że rower porusza się tylko wtedy, gdy jest napędzany siłą mięśni człowieka. Motocykl zaś nabiera prędkości, bo napędza go silnik, który pracuje na skutek spalania paliwa. Kamień rzucony z dachu spada, bo występuje przyciąganie ziemskie. Z rozumowania świętego Tomasza jednak nie wynika, że musi być jakiś doskonały byt, ostateczna i pierwsza przyczyna ruchu. To jest po prostu bzdura. Gdy jako student analizowałem powyższy dowód na istnienie Boga, doszedłem tylko do wniosku, że problem ostatecznej przyczyny ruchu jest dotąd niezbadany. Ruch mogą wywołać inne, nieznanne siły, na przykład tkwiące w materii.

Drugi dowód świętego Tomasza na istnienie Boga jest dowodem kosmologicznym. Polega on na obserwacji rzeczy uczynionych i próbie szukania ostatecznej przyczyny ich powstania. Dowodem tym – choć w sposób uproszczony – chętnie posługują się katecheci i księża, uczący religii w szkołach średnich. Jest on dość przejrzysty, na ogół prosty i w zasadzie w środowisku młodzieży skuteczny. W seminarium duchownym uczyłem się tego dowodu, przyswajając sobie następujący tekst: „Drugą drogę bierzemy z przyczynowości rzeczy. Znajdujemy bowiem w tych rzeczach pod zmysły podpadających pewien porządek wśród przyczyn. Nie trafia się jednak, ani się trafić nie może, by coś było przyczyną samego siebie. Musiałoby bowiem być wcześniejsze od siebie, co jest niemożliwością. Nie jest zaś możliwe posuwanie się w przyczynach sprawczych do nieskończoności, gdyż w przypadku podporządkowania wszystkich przyczyn sprawczych, pierwsza jest przyczyną pośrednią, a pośrednia jest przyczyną ostatnią, czy pośrednia jest jedna, czy też jest ich więcej. Gdy zaś usuniemy przyczynę, usuniemy i skutek. Zatem jeśli nie będzie pierwszej wśród przyczyn sprawczych, nie będzie ostatniej i pośredniej. Lecz jeśli będziemy się posuwać aż do nieskończoności w przyczynach sprawczych, nie będzie pierwszej przyczyny sprawczej, a tym samym nie będzie końcowego skutku, ani przyczyn pośrednich, co jest jawnym fałszem. Zatem trzeba koniecznie założyć pierwszą przyczynę, którą wszyscy nazywają Bogiem” [Tekst świętego Tomasza przytoczony za dziełem wyżej cyt., s. 31].

Skąd święty Tomasz wysuwa wniosek, że musi być pierwsza przyczyna, którą jest Bóg? Z przytoczonego rozumowania to nie wynika. Dlatego ucząc się powyższego dowodu prawie na pamięć, załamałem się i straciłem chęć do studiowania pozostałych jego dowodów. Przestałem wierzyć, że filozofia potrafi rozwiązać problem istnienia Boga. Miałem jeszcze nadzieję, że rozwiąże mi go teologia. Na trzecim roku studiów uczono nas apologetyki. Stanowiła ona jakby pomost

między filozofią a teologią dogmatyczną. Miała wykazać, iż objawienie Boże jest faktem i ludzie nim dysponują. Należy go szukać głównie w Piśmie świętym Starego i Nowego Testamentu. Apologetyka ukazywała także drugie – po Piśmie świętym – źródło objawienia Bożego, jakim jest tradycja. Znajdujemy ją w pismach tak zwanych Ojców Kościoła, w dokumentach soborowych i papieskich. W związku z powyższym na trzecim roku studiów musiałem jeszcze opanować przedmiot nazywany patrologią. Była ona również pewnym wstępem do teologii. Uczono tak zwanej literatury pisanej na tematy religijne, która powstała w okresie od początku chrześcijaństwa aż do 754 roku. Muszę przyznać, że studiowanie apologetyki i patrologii nic nie wniosło do umocnienia mojej wiary, raczej uświadomiło mi, że cytowanie wyjątków z dzieł Ojców Kościoła w celu udowodnienia prawdziwości dogmatów jest śmieszne, wprost sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Zaś uczenie się starożytnej historii Kościoła pokazywało, jak powstawały różnego rodzaju dokumenty soborowe i papieskie.

Musiałem się trochę pomęczyć, by poznać problemy ówczesnych teologów, roztrząsane na pierwszych sześciu soborach powszechnych. Dowiedziałem się między innymi, że na sporządzanie dokumentów soborowych mieli decydujący wpływ nie papieże, ani ojcowie soborowi, ale rzymscy cesarze. Papieże musieli ich słuchać, bo oni sponsorowali całą ich działalność. Toteż gdy ksiądz profesor apologetyki mówił, iż Pismo Święte, tradycja i nauka Kościoła są źródłem argumentów na udowodnienie prawdziwości dogmatów katolickich, po prostu w to nie wierzyłem. Z takim – niestety – przygotowaniem przystąpiłem na czwartym roku studiów do słuchania wykładów z teologii dogmatycznej.

Wykłady te rozpoczęto od przedstawiania katolickiej nauki o istnieniu Boga. Stwierdzono, że są dwa dogmaty o istnieniu Pana Boga. Jeden z nich mówi, że istnienie Pana Boga jest prawdą rozumu, a drugi – że jest prawdą wiary. Nie potrafiłem zrozumieć, po co te dwa dogmaty. Uznałem, iż są one Kościołowi katolickiemu potrzebne tak, jak dogmat o nieomyślności papieża. Nawet nie musiałem słuchać tych wykładów, aby się przekonać, że nie da się drogą logicznego rozumowania udowodnić istnienia Boga. Zrozumiałem to już wcześniej, gdy uczyłem się logiki i teodycei. Najpierw nasz profesor zajął się pierwszym dogmatem. Zdefiniował go następująco: „Przyrodzonym światłem rozumu ludzkiego można przez rzeczy stworzone poznać w sposób pewny jedyne, prawdziwego Boga, Stwórcę i Pana naszego”.

Podane przez niego uzasadnienie:

A. Pismo święte:

a) Dowód pośredni: „Bo gdy poganie, którzy Zakonu nie mają, z natury czynią, co Zakon nakazuje, tak, że ci, którzy Zakonu nie mają, sami sobie są Zakonem i ujawniają treść Zakonu wypisaną w swych sercach. Poświadczą to im i ich sumienie, gdy różne ich myśli oskarżają się nawzajem lub bronią. [Okaze się to] w dniu, w którym Bóg sędzić będzie tajniki ludzkie, według Ewangelii mojej przez Jezusa Chrystusa” [Rzym. 2, 14-16].

Z powyższego tekstu można wysnuć następujący wniosek: Poznanie prawa naturalnego samym rozumem przypuszcza naturalne poznanie Boga. Święty Paweł posługuje się następującym rozumowaniem:

- Ludzie mają wszczepione w swoje umysły zasady moralne.
- Musiał więc być ktoś, kto te zasady moralne im wszczepił.
- Tym kimś jest Bóg.

Według mnie powyższy wniosek jest błędny, bo przyczyny mogły być inne. Nie można na podstawie skutku wnioskować jednoznacznie o konkretnej przyczynie.

b) Dowody bezpośrednie: „Głupi [już] z natury są wszyscy ludzie, którzy nie poznali Boga, z dóbr widzialnych nie zdołali poznać Tego, który jest, patrząc na dzieła nie poznali Twórcy, lecz ogień, wiatr, powietrze chyże, gwiazdy dookoła, wodę burzliwą lub światła niebieskie uznali za bóstwa, które rządzą światem... Bo z wielkości i piękna stworzeń poznaje się przez podobieństwo ich Stwórcę” [Mądr. 13, 1-2 i 5].

Analiza powyższego tekstu:

– Istnienie Pana Boga jest przedmiotem tej samej władzy poznawczej, co świat widzialny, to jest rozum.

– Właśnie ten świat widzialny, którego wielkość i piękno żądają istnienia Stwórcy, jest drogą do poznania Pana Boga.

– To poznanie istnienia Pana Boga jest stosunkowo łatwiejsze, aniżeli ujęcie prawdy o świecie. Stąd ludzie lekkomyślni nie wiedzą o Panu Bogu.

Według Starego Testamentu już sam świat stanowi wystarczającą podstawę do łatwego poznania Pana Boga, bez potrzeby jakiegokolwiek interwencji Boskiej zewnętrznej czy wewnętrznej. „Bo niewidzialne jego rzeczy, nawet Wiekuista Moc Jego i Bóstwo, od stworzenia świata przez dzieła Jego widzialnymi się stały, tak że od winy wymówić się nie zdołają. Albowiem poznawszy Boga nie złożyli Mu jako Bogu czci ani dziękczynienia, ale znikczemnieli w myślach swoich i zaćmione zostało bezrozumne serce ich” [Rzym. 1, 20-21].

Niewidzialny Bóg staje się widzialnym ludzkiemu rozumowi. Nie dzieje się to drogą objawienia, lecz po prostu wymową samej przyrody wszystkim dostępnej. „Ale nie zostawił siebie bez świadectwa” – mówi święty Paweł – „dobrodziejstwa czyniąc z nieba, dając deszcze i czasy urodzajne i napełniając pokarmem i radością serca nasze” [Dz. Ap. 14, 16].

Jest to spontaniczne, popularne poznanie egzystencji Bożej. Stąd też i poganie są bez wytłumaczenia w swoim bałwochwalstwie.

B. Tradycja.

Pan Bóg daje się poznać w ogóle poprzez świat widzialny:

- a)** Klemens Aleksandryjski pisze, że wszyscy ludzie, Grecy i barbarzyńcy poznają z własnej mocy, bez pouczenia, Ojca i Stwórcę wszechrzeczy.
- b)** Anaksagoras nazywa ład, wielkość i piękno świata podstawową religią.
- c)** Święty Bazyle uważa, że świat widzialny jest szkołą i instytutem poznania Pana Boga.

Z powierzchniowej obserwacji świata widzialnego rodzi się spontanicznie u każdego myślącego człowieka przynajmniej popularne poznanie Boga.

- a)** Tertulian pisze: „magistra natura, anima discipula” [nauczycielką natura, dusza uczennica].
- b)** Święty Augustyn pisze: „Ta jest właściwość prawdziwego bóstwa, że nie potrafi się ukryć przed człowiekiem”.

Jeśli chodzi o dogmat drugi, to go sformułowano, jak niżej:

„Jest jeden prawdziwy Bóg, Stwórca i Pan wszystkich bytów widzialnych i niewidzialnych”.

Na to podano następujące uzasadnienie:

A. Pismo święte: „Bez wiary bowiem niepodobna podobać się Bogu, a przystępujący do Boga winien wierzyć, że Bóg jest i że nagradza tych, którzy Go szukają” [Hebr.11, 6].

B. Tradycja: Fakt istnienia przez wieki Składu Apostolskiego, uważanego za streszczenie wiary Apostołów.

Są więc dwa dogmaty o istnieniu Pana Boga. Jeden z nich mówi, że istnienie Pana Boga jest prawdą rozumu, a drugi, że jest prawdą wiary. Powstaje problem, czy człowiek konkretny może mieć równocześnie i wiedzę, i wiarę na temat istnienia Boga? Święty Tomasz wydaje się temu przeczyć. Jednak Sobór Watykański obie te prawdy zdefiniował, z czego wynika, choć niewyraźnie, że można te dogmaty w jednej osobie, jako równocześnie istniejące, pogodzić. Sprzeczność bowiem zachodziłaby dopiero wtedy, gdyby wiedziano i wierzone dla tej samej racji. Czy tymczasem tak nie jest? Istnienie Boże jest wprawdzie przedmiotem materialnym i wiedzy, i wiary, wszelako przedmiot formalny jest różny. Wiedza opiera się na oczywistości dowodu, a wiara na Bożej prawdzie. Wiara wymaga łaski Bożej, wiedza zaś tej łaski nie potrzebuje [Notatki z wykładów z roku ak. 1953/1954].

Muszę się przyznać, że powyższe wykłady przeze mnie zapisane tylko wygasły moją wiarę w istnienie Boga. Dowody okazały się zupełnie nieskuteczne. Poznałem tylko ich słabość. Nie mogło być przecież inaczej, skoro definicje dogmatyczne są śmieszne i sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem. Nic nie wnoszą do stanu wiedzy o istnieniu Boga, ustalonego przez teodyceę, w tym także naukę świętego Tomasza z Akwinu. Kościół katolicki swoimi dwoma dogmatami o istnieniu Boga, ogłoszonymi pod koniec dziewiętnastego wieku, zaciemnił tylko problem i pokazał, że jest instytucją lekceważącą inteligencję i rozum człowieka. Gdy zgłębiałem obydwa dogmaty, spostrzegłem w nich brak jakiegokolwiek logiki. Jeśli człowiek – zgodnie z jednym dogmatem – może poznać istnienie Boga naturalnym światłem rozumu, to nie ma potrzeby, by – jak głosi drugi dogmat – w to samo wierzył. Nie można jednocześnie wiedzieć i wierzyć, i to pod groźbą utraty zbawienia.

Po wysłuchaniu wykładów z dogmatyki o istnieniu Boga zauważyłem, że posłużono się podobnymi dowodami jak w wykładach z teodycei. Dogmatyka również przekonuje, iż rzeczy widzialne mówią o Stwórcy. Nie wyprowadza jednak dowodów drogą logicznego rozumowania. Przytacza tylko cytaty z Pisma świętego, z dzieł Ojców Kościoła i inne, które mają być argumentami

świadczącymi o istnieniu Pana Boga. Mnie te argumenty nie przekonały. W pewnym momencie poczułem się nawet przez nie zawiedziony, a przez Kościół katolicki oszukany.

Teraz spróbuję przedstawić, jak przestałem wierzyć w istnienie nieśmiertelnej duszy ludzkiej. O istnieniu nieśmiertelnej duszy ludzkiej miała mnie przekonać psychologia racjonalna. Wykładano ją przez pół roku. Na początku kilka prelekcji poświęcono roślinom i zwierzętom. Próbowano wykazać, że rośliny różnią się zasadniczo od materii nieożywionej. Mają bardziej skomplikowany skład chemiczny. Są w stanie ciągłego ruchu, odżywiają się i rosną. Mają początek i giną. Ksiądz profesor dociekał, czym są te oznaki życia. Przytaczał na ten temat zdania różnych filozofów, by na końcu dać odpowiedź. Ponieważ nie mam notatek z tych wykładów, przytoczę odpowiedni tekst z książki, z której nasz wykładowca korzystał.

Oto ten tekst: „Możemy więc śmiało powiedzieć na podstawie zbieżności wszystkich dowodów [*argumentum convergentiae*]: Istnieje pierwiastek życiowy w roślinach, istnieje dusza roślinna jako sprawczyni objawów życia wegetatywnego. Mniejsza o to na razie, czy ją nazwiemy 'siłą życiową', czy 'siłą organiczną', czy 'pędem twórczym', czy dominantą Reinkego, czy 'entelechią' Driescha. Nie chodzi na razie o naturę tej siły wyższej nad materią, chodzi tylko o jej istnienie. Istnienie to nie ulega wątpliwości” [ksiądz Franciszek Kwiatkowski, *Filozofia Wieczysta* tom II. Kraków 1947, s. 139-140]. Ja jednak co do powyższych wywodów miałem wątpliwości. Przyjąłem do akceptacji tylko to, że rośliny istotnie różnią się od materii nieożywionej. Nic poza tym. Nie uwierzyłem w żadną duszę roślinną. Dziwiłem się tylko, że aż pięć godzin zastanawialiśmy się, czym jest ta dusza roślinna.

Zwierzęta mają życie bardziej skomplikowane i celowe – mówił przez cztery wykłady nasz profesor. Podkreślał, że oprócz cech życia wegetatywnego mają dodatkowo zdolność odbierania za pomocą zmysłów sygnałów z zewnątrz, w pewien sposób czują i poznają.

Nie będę się tu zagłębiał w szczegóły. Chcę tylko zaznaczyć, że na tej podstawie stworzono pojęcie duszy zwierzęcej, głosząc: „Nie jest więc zwierze żadną kolonią zwierzątek, nie posiada ono też dwóch dusz, lecz tylko jedną duszę zmysłową, która sprawia w nim czynności tak życia wegetatywnego, jak i zmysłowego” [Dzieło wyżej cyt., s. 177].

Smutny jest jednak – według świętego Tomasza z Akwinu – los zarówno duszy roślinnej, jak i zwierzęcej. Czternasta teza tomistyczna bowiem głosi: „Dusza roślinna i zwierzęca nie bytują samoistnie, nie są też wprost wytwarzane, lecz są jedynie zasadami bytu i życia istoty żywej, a ponieważ zależą całkowicie od materii, giną pośrednio, gdy ginie byt złożony” [Dzieło wyżej cyt., s. 142].

Nie wiem, jak się urodziła powyższa teza. Ja jej jakoś nie rozumiałem. Zapytałem więc wykładowcę: – Czy zwierzęta – chodzi mi głównie o psy i koty – po śmierci bezpowrotnie giną?

Ksiądz profesor szczerze, ale na okrągło, odpowiedział:

– Niektórzy ludzie bardzo kochają swoje zwierzęta. Gdy umierają, niekiedy urządzą im groby i o te groby się troszczą. Prawdopodobnie wierzą, że ich pupile cieszą się życiem wiecznym. Taka wiara nie jest wyraźnie sprzeczna z nauką naszego Kościoła.

To jednak nie rozwiązało moich wątpliwości, bo psychologia racjonalna uparcie twierdzi, że tylko dusza ludzka jest nieśmiertelna. Uznałem zatem, iż Bóg jest niesprawiedliwy. Nie potrafiłem bowiem pojąć, dlaczego tylko człowiek ma cieszyć się życiem wiecznym. Postanowiłem więc dobrze przestudiować filozofię katolicką na temat nieśmiertelności dusz ludzkich. Myślałem, że w czasie studiów filozoficzno-teologicznych dowiem się o takich duszach wszystkiego. Okazało się, że ani filozof, ani teolog nie potrafili przedstawić takiego dowodu, na podstawie którego mógłbym – zgodnie ze zdrowym rozsądkiem – przyjąć, że mam nieśmiertelną duszę, która jest źródłem moich przeżyć psychicznych. O istnieniu duszy miały według nich świadczyć myślenie i uczucia wyższego rzędu. Tylko ludzie potrafią tworzyć pojęcia ogólne, ujmować różnego rodzaju stosunki zarówno rzeczowe, jak i logiczne oraz przyczyniać się do postępu w każdej dziedzinie życia. Potrafią także budować systemy filozoficzne, dokonywać wyboru między dobrem a złem oraz tworzyć religie i światopoglądy. Wśród istot żyjących tylko człowiek potrafi mówić, bo myśli. Zwierzęta nie mówią, ponieważ nie myślą, a skoro nie myślą, nie mają nic do powiedzenia. Życie psychiczne człowieka różni się w zasadniczy sposób od życia psychicznego zwierząt, co świadczy o istnieniu w człowieku duszy innej, niż mają rośliny i innej, niż mają zwierzęta. Po wysłuchaniu powyższych wykładów, których treść podaję w bardzo dużym skrócie, usiadłem przy oknie mojego pokoju, który w seminarium duchownym zajmowałem, i zacząłem się zastanawiać. Interesowała mnie forma budowy rozumowania. Chciałem wiedzieć, czy budowa ta jest zgodna z logiką. Doszukałem się przesłanek oraz wniosku.

Spróbowałem temu rozumowaniu nadać następujący układ:

– Ludzie myślą abstrakcyjnie, przekazują swe myśli innym, mają wyższe uczucia psychiczne.

- Zwierzęta tego nie potrafią.
- Zatem ludzie muszą mieć jakąś doskonalszą duszę niż one.

Całe rozumowanie jest błędne. Nie ustalono bowiem przyczyny abstrakcyjnego myślenia i wyższych uczuć człowieka. Filozofowie scholastyczni przyjmują *a priori*, że jest nią dusza, a ja już wtedy wiedziałem, że jest istotna zależność między mózgiem a myśleniem. Gdy mózg zostanie uszkodzony, człowiek nie potrafi poprawnie myśleć. Według mnie, gdyby prawdą było, że myśl jest wytworem duszy, na świecie nie byłoby ludzi chorych psychicznie. Do dwudziestego siódmego roku życia mieszkałem w Gnieźnie. Często chodziłem na spacerzy za miasto. Tam trafiałem na szpital dla umysłowo chorych, których często oglądałem. Kilka razy miałem okazję być w tym szpitalu. Patrząc na chorych, nie mogłem przyjąć za fakt, że dusza jest przyczyną myślenia. Gdyby tak było, nie mielibyśmy chorób psychicznych. Mimo że prawie wszyscy koledzy mieli podobne zdanie jak ja, wykładowca uznał, że nam udowodnił fakt istnienia duszy ludzkiej i przystąpił do wyjaśniania jej istoty. Postawił tezę, że dusza ludzka jest duchowa, pojedyncza i nieśmiertelna. Jeśli chodzi o duchowość duszy, to tak ten fakt udowadniał: „dusza ludzka jako taka wznosi się jeszcze wyżej w uduchowaniu. Posiada bowiem, jak widzieliśmy, zdolność odrywania całkowitego przedmiotu swego poznania od warunków materialnych, poznaje kamień jako kamień, długość jako długość, barwę jako barwę. Owszem poznaje nawet przedmioty niematerialne, jak byt, Boga, cnotę. Toteż w istocie swego dusza ludzka musi być więcej niematerialna niż dusza roślinna i zwierzęca, musi być prawdziwie duchowa” [Dzieło wyżej cyt., s. 232].

Ja, ucząc się tego prawie na pamięć, naprawdę się śmiałem. Nie sądziłem, że takie irracjonalne filozofowanie znajduje się w podręczniku akademickim i jest powtarzane przez profesora. Podobne irracjonalne rozumowanie znajduje się w podręczniku także w odniesieniu do pojedynczości i nieśmiertelności duszy ludzkiej.

Zagadnienie pierwsze próbowano uzasadnić następująco:

„Z niematerialności duszy ludzkiej wynika jasność i jej niezłożoność, czyli prostota, pojedynczość. Dusza ludzka nie wyklucza złożoności w dziedzinie bytu [*in ordine entis* : z istoty i z istnienia], ani też złożoności w dziedzinie istoty i przypadłości [każda myśl, każde chcenie jest przypadłością duszy], lecz wyklucza złożoność w samej swej istocie, to jest złożoność z materii i formy oraz złożoność z części całościowych, jakie spotykamy w ciałach rozciągniętych. Jest więc dusza niezłożona z materii i formy, ani substancji i rozciągłości” [Dzieło wyżej cyt., s. 234].

Na uzasadnienie zagadnienia drugiego, wykładowca przedstawił taką treść: „Z duchowości i pojedynczości duszy ludzkiej wynika bezpośrednio jej nieśmiertelność. Śmierć to rozkład istoty żyjącej. Co zaś jest w swej istocie niezłożone, rozłożyć się zatem i umierać nie może. Dusza ludzka jest w swej istocie niezłożona, zatem i umrzeć nie może. Jest tedy z natury swej nieśmiertelna [*non corrumpitur per se*]” [Dzieło wyżej cyt., s. 235-236].

Dusza roślinna i zwierzęca są w swej istocie również niezłożone, ale nie są samoistne, czyli prawdziwie duchowe. Nie są więc zdolne do samodzielnego bytowania poza ciałem. Tu właśnie mamy do czynienia z czystą spekulacją, niemającą realnych przesłanek do logicznego wnioskowania. Taka filozofia niewiele może wyjaśnić. Buja w obłokach, powołując się na filozofów, głównie scholastycznych. U tych filozofów również nie znalazłem zgodnego ze zdrowym rozsądkiem uzasadniania substancjalności duszy ludzkiej. Oni twierdzą *a priori*, że jest jakieś samoistne podłoże aktów rozumu i woli, które nazywają substancjalną duszą człowieka. Studiując to, można było pęknąć ze śmiechu i stracić nadzieję na głębsze poznanie zagadnienia dusz.

Uważam, że warto jeszcze poruszyć problem możliwości unicestwienia duszy ludzkiej. Wykładowca psychologii racjonalnej uczył, iż dusza człowieka, choć niezłożona w porządku istoty, jest jednak złożona z istoty i z istnienia w porządku bytu. Nie jest więc bytem koniecznym, lecz przygodnym. Byt przygodny zaś może ulec zagładzie, przynajmniej drogą unicestwienia przez Boga.

Na to, że Bóg duszy ludzkiej nie unicestwi, ksiądz profesor przytoczył dowody, mówiąc:

- unicestwieniu sprzeciwia się dobroć i mądrość Boża,
- unicestwienie byłoby sprzeczne z pragnieniem szczęścia doskonałego, które tkwi w duszy ludzkiej,
- byłoby ono niezgodne z Bożą sprawiedliwością, według której grzechy ludzkie winny być należycie ukarane.

Rozumowanie to do mnie nie przemówiło. Uznałem, iż powyższe argumenty są wprost zabawne. Doszedłem do przekonania, że nie da się światłem ludzkiego rozumu udowodnić ani istnienia duszy ludzkiej, ani jej substancjalności, duchowości, czy też pojedynczości oraz

nieśmiertelności.

Wtedy kończyłem w seminarium duchownym drugi rok studiów. Aby się przekonać, czy potrafi to zrobić dogmatyka, musiałem czekać dwa lata. Na ogół dobrze pamiętam wykłady z dogmatyki o duszy człowieka. Co zapomniałem, mogę sobie przypomnieć, bo zachowały się moje notatki z tego przedmiotu.

Tak mówił, a właściwie dyktował nasz wykładowca dogmatyki:

„Faktem jest, że człowiek jest istotą złożoną. Należy się zastanowić, ile jest tych istotnych czynników w człowieku, czy tylko dwa, czy też więcej, a potem, jaki jest wzajemny stosunek tych elementów.

Na oba te pytania odpowiada Kościół święty, twierdząc, że są dwa istotne, składowe elementy: ciało i dusza oraz że stanowią jedność substancjalną, której formą substancjalną jest właśnie dusza” [Notatki z wykładów z roku ak. 1954/1955]; postawił następnie tezę: „Człowiek składa się z dwóch istotnych elementów, mianowicie z ciała i duszy rozumnej” [Notatki z wykładów z roku 1954/1955].

Dla udowodnienia tej tezy przytoczył następujące argumenty:

A. Pismo święte:

a) „Wtedy to Pan Bóg ulepił człowieka z prochu ziemi i tchnął w jego nozdrze tchnienie życia, wskutek czego stał się człowiek istotą żywą” [Rodz. 2, 7].

b) „I wróci się proch do ziemi tak, jak nią był, a duch powróci do Boga, który go dał” [Eklez. 12, 7].

c) „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą. Bójcie się raczej Tego, który duszę i ciało może zatracić w piekle” [Mt 10, 28].

d) „Ja zaś nieobecny wprawdzie ciałem, ale obecny duchem, już potępiłem, tak jakbym był wśród was, sprawcę owego przestępstwa” [1 Kor. 5, 3].

B. Tradycja:

Wykładowca ogólnie stwierdził, że Ojcowie Kościoła powszechnie wyznają dychotomizm.

C. Rozum:

Wykładowca tłumaczył, iż jaźń, czyli świadomość własnej osobowości jest dowodem istnienia duszy ludzkiej.

Teza druga brzmiała:

„Ciało i dusza są tak ze sobą zespolone, że tworzą substancjalną jedność, przy czym dusza rozumna jest *per se et conditionaliter* formą ludzkiego ciała” [Notatki z wykładów z roku ak. 1954/1955].

„Z tezy powyższej wynika

– W człowieku istnieją tylko dwa istotne elementy: dusza rozumna i ciało ludzkie.

– Dusza jako prawdziwa forma ciała informuje ciało *per Se* [sama przez się], a nie przez duszę roślinną czy zwierzęcą i *essentialiter*, to jest *sua essentia*, a więc nie *accidentaliter*.

– Dusza jest to forma *substantialis coporis* a nie *accidentalis* lub *assistens*.

– Wszystko życie w człowieku, a więc roślinne i zwierzęce, i duchowe wypływa z jednej duszy rozumnej, która jest wirtualnie i duszą roślinną, i zwierzęcą” [Notatki wykładów z roku ak. 1954/1955].

Profesor znowu kolejno przedstawił odpowiednio dobrane cytaty z Pisma świętego, z dzieł Ojców Kościoła i rozumu, mniemając, że nas do przedstawionej tezy przekonał. Jeśli chodzi o mnie, to nic z tego nie trafiło do mojego rozumu. Machnąłem więc ręką i przeszedłem do porządku dziennego. Najbardziej jednak załamało mnie w wierze wówczas, gdy zaczęliśmy się zastanawiać, kim jest kobieta. Oburzyłem się, bo myślałem, że nasz wykładowca odmawia jej pełnego człowieczeństwa. Mówił bowiem, iż jest ona nie chwałą Boga, lecz wyłącznie chwałą mężczyzny. Tę tezę starał się uzasadnić, przytaczając cytat z listu świętego Pawła: „Mężczyzna nie powinien nakrywać głowy swojej, gdyż jest wyobrażeniem i chwałą Boga, niewiasta zaś jest chwałą mężczyzny. Bo nie mężczyzna jest z niewiasty, ale niewiasta z mężczyzny. Mężczyzna bowiem nie był stworzony dla niewiasty, ale niewiasta dla mężczyzny” [1 Kor. 11, 7-9]. Treści tego cytatu długo nie mogłem przetrwać. Nieraz już czytałem listy świętego Pawła.

Nigdy jednak nie czułem się tak zbulwersowany, jak na wykładzie z teologii dogmatycznej na temat duszy ludzkiej. Cytat wyżej przytoczony wyraźnie mówi, że kobieta jest człowiekiem niższego rzędu niż mężczyzna. Każdy to musi tak rozumieć. Nie może tego pojmować inaczej, zważywszy, iż pisze o tym sam apostoł święty Paweł, a to, co on napisał, jest natchnione przez Ducha Świętego i z tego powodu uznać trzeba za nieomyślne.

Chociaż wiedziałem, że nasz profesor nie lubił, gdy klerycy zadawali mu pytania, na następnym

wykładzie zdobyłem się na odwagę i zabrałem głos:

– Proszę księdza profesora, nie daję mi spokoju cytat, który wczoraj ksiądz przytoczył. Wydaje mi się, że święty Paweł wyraźnie poniża kobiety. Proszę nam to jakoś wytłumaczyć.

Wykładowca ze spokojem odpowiedział:

– Przytoczyłem Pismo święte i w to, co ono mówi, trzeba wierzyć. Wiemy, że Bóg stworzył różne byty, między innymi zwierzęta, ludzi i aniołów. Żadne z tych stworzeń nie musiało być powołane do życia. Bóg zrobił to z własnej woli i dobroci. Między tymi grupami stworzeń są różnice. Są także ogromne różnice między ludźmi. Jedni są zdolni, przystojni, zdrowi, bogaci, inni zaś biedni, chorzy i okaleczeni. Czy biedny lub bezradnie leżący w łóżku człowiek może mówić, że został przez Boga poniżony?

Rzecz jasna, nie. Powinien Stwórca dziękować za to, co od Niego za darmo otrzymał. Podobnie i kobieta nie może się żalić, iż została stworzona dla mężczyzny i jest człowiekiem niższego rzędu. Na tym profesor jeszcze nie zakończył swoich wywodów.

Chcąc być bardziej przekonujący, powiedział:

– W ciągu wieków teologowie prawie zawsze zastanawiali się, kim jest kobieta. Szczególnie jaskrawo ten problem wystąpił podczas narodowego synodu galijskiego, który odbył się w 585 roku w mieście Macon. Na tym synodzie zastanawiano się, czy w świetle Pisma świętego Starego i Nowego Testamentu można przyjąć, że kobieta ma nieśmiertelną duszę. Na szczęście nie podjęto uchwały, iż takiej duszy nie ma. Jednak stwierdzono, że jest człowiekiem mniej ważnym. Dlatego właśnie nie dopuszcza się jej do funkcji kapłańskiej. Może być przez biskupów i księży wykorzystana w Kościele do różnych, mniej ważnych posług. Studiując dogmatykę Kościoła katolickiego o duszy ludzkiej, jeszcze raz zostałem zmuszony do zastanawiania się nad jej nieśmiertelnością.

Tym razem pobudziły mnie do tego wykłady księdza profesora tej dyscypliny wiedzy, które zamiast moją wiarę w nieśmiertelność duszy umocnić, zburzyły ją na zawsze. Oto główne zagadnienia tych wykładów:

– Dusza ludzka jest substancją duchową.

– Dusza ludzka jest nieśmiertelna.

Na potwierdzenie powyższych tez, jak zwykle w dogmatyce bywa, wykładowca przytoczył wybrane cytaty z Biblii, pism Ojców Kościoła, a także uzasadnienie rozumowe. Dwie pierwsze grupy dowodów nie miały dla mnie znaczenia, bo już wtedy nie wierzyłem ani w napisanie Biblii pod natchnieniem Ducha Świętego, ani też w jakąś wartość dowodową dzieł pisarzy katolickich pierwszych wieków chrześcijaństwa. Aby pokazać, jak słabe i śmieszne było dowodzenie rozumowe, przytoczę je w całości: „Przeżycia wewnętrzne, a przede wszystkim czynności duchowe, są nie do pomyślenia bez realnego duchowego podmiotu. Każdy odnosi swoje przeżycie do swego 'Ja', które jest ich podmiotem, a więc czymś od niego różnym. Duchowość duszy jest także prawdą rozumową. Myślenie i chcenie jest ponadczasowe i ponadprzestrzenne.

Obiekt myślenia i chcenia przynajmniej w części dotyczy rzeczy duchowych. Jaźń niepodzielna i niezależna domaga się prostego, niematerialnego podmiotu. Mowa, nauka, kultura, prawodawstwo i sztuka, wychowanie, moralność, religia są dowodami duchowości naszej duszy. Prostota duszy i niezłożoność czyni jej śmierć niemożliwą. Swoją potencją absolutną mógłby Pan Bóg istnienie duszy zniweczyć. W obecnym jednak porządku mądrość i dobroć Boża do tego nie dopuszczają. Nieśmiertelności duszy domaga się sprawiedliwość Boża. Prawda jest z istoty swej niezmienna, a więc nieprzemijająca. Taka musi być również dusza jako tej prawdy podmiot” [Notatki wykładów z roku ak. 1954/1955].

Powyższy tekst czytałem wiele razy. Zawsze dochodziłem do przekonania, że niczego nie dowodzi. Dla mnie był on czysto spekulatywnym rozumowaniem, sprzecznym z zasadami logiki. Autor tego tekstu wyraźnie sobie lekceważył naukę o tworzeniu pojęć i wnioskowaniu, a także teorię poprawnego rozumowania. Przecież nie miał żadnych realnych przesłanek, by podawać jako pewnik to, że dusza ludzka jest substancją duchową i nieśmiertelną. Gdy bliżej się temu rozumowaniu przyglądałem, dochodziłem do przekonania, że teolodzy korzystają z takich samych ułomnych dowodów rozumowych, z jakich korzysta psychologia racjonalna. Na podstawie powyższego mogłem wyciągnąć tylko jeden wniosek, a mianowicie: Nie da się udowodnić istnienia nieśmiertelnej duszy ludzkiej ani rozumowo, ani cytatami z Biblii i pism Ojców Kościoła.

Pod koniec 1955 roku znalazłem się w bardzo trudnej sytuacji. Zbliżałem się do końca studiów, przygotowujących mnie do kapłaństwa. Straciłem wiarę w istnienie Boga i w istnienie nieśmiertelnej duszy ludzkiej, pozbywając się tym samym predyspozycji do kapłaństwa. Zdawałem sobie sprawę, że bez wiary w Pana Boga i w nieśmiertelność duszy ludzkiej nie można być księdzem i dlatego

z tego zawodu powinienem zrezygnować. Nie robiłem tego, bo brak mi było odwagi. Toczyłem więc ze sobą walkę aż do grudnia 1958 roku.

Zygmunt Pinkowski

Autor ukończył studia w Wyższym Arcybiskupim Seminarium Duchownym w Gnieźnie. Przez dwa i pół roku był księdzem w kilku parafiach, m.in. w Bydgoszczy. W latach młodości, w szkole średniej, przez kilka lat działał w Sodalitacji Mariańskiej. W grudniu 1958 r. zrezygnował z kapłaństwa. Założył rodzinę. Po długiej wędrówce zamieszkał na Śląsku. W roku 1971 ukończył studia ekonomiczne. W późniejszych latach pracował na stanowiskach dyrektora w przedsiębiorstwach związanych z budownictwem drogowym na Śląsku.

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 17-02-2009)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,6362) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,6362>)

Contents Copyright © 2000-2009 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2009 Michał Przech

Autorem portalu Racjonalista.pl jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.
Właścicielami portalu są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie strony tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl